

Zawężona narracja

Magdalena Gawin

Jeśli historia polityczna staje się po prostu historią wydarzeniową, to dzieje się tak na skutek ułomności warsztatu historyka, a nie gatunku pisarstwa historycznego. Historia polityczna, pod ręką wprawnego historyka, jest także opowieścią o czasach, ideach i mentalności – przekonuje dr Magdalena Gawin w polemice z prof. Andrea Petö, bohaterką wywiadu w poprzednim numerze „Pamięci.pl”.

Po upadku komunizmu akademicy byli zmęczeni zarówno nudnym, wyjaławiającym marksizmem, jak i pewnym stylem myślenia, skupionym bardziej, jak pisał w 1987 roku David Cannadine, „na trywialnej prawdzie niż owocnym błędzie”. Krytycy literaccy, socjologowie, antropologowie kultury i – w dużo mniejszym stopniu – historycy wprowadzali do swojego warsztatu pracy nowe elementy metodologii, w których trwale miejsce zajęły pojęcia: dekonstrukcji, dyskursu, zwrotu lingwistycznego i wiele innych. Michel Foucault, Jacques Derrida, Margaret Mead, Judith Butler – listę nazwisk można jeszcze długo ciągnąć – zwiastowali epokę „nowej narracji”: podejrzliwej wobec dominujących dyskursów, odkrywającej ukryte kody i treści w kulturze, wydobywającej na światło dzienne proces konstrukcji kulturowych ról męskości i kobiecości. „[...] dla Derridy radykalna podejrzliwość, krytyczność »od podszewki«, budzenie świadomości z uspienia, poruszenie tego, co już dawno zatarła, stłumiła, wyparła, ustabilizowała tak, że stało się automatyczne – jest rodzajem »powołania« dekonstrukcji, a kwestionowanie – synonimem odpowiedzialności” – pisała prof. Anna Burzyńska, teoretyk literatury. Ta „filozofia podejrzeń” miała swoją mocną dziewiętnastowieczną tradycję w postaci marksizmu i freudyzmu, z której obficie czerpie do dzisiaj. Nowe narzędzia metodologiczne sprawiły, że do starych, istniejących już konfliktów zogniskowanych wokół klasy, rasy czy religii dodano nowy element – *gender*, czyli płeć kulturową.

Unieważniona chronologia

W humanistyce postmodernistyczna metodologia została przyjęta dużo chętniej i szybciej w środowisku krytyków literackich niż historyków i tego zawężonego kręgu recepcji nie można uznać za zjawisko charakterystyczne dla Polski. Postmodernizm zakwestionował obiektywizm badacza, równouprawnił wielość narracji, odsunął na bok kontekst wydarzeń (bo ważny jest sam tekst), unieważnił chronologię, obśmiał pocziwe myślenie przyczynowo-skutkowe, z którym historycy uparcie nie chcieli się rozstać. Gdyby z całą powagą traktować postmodernistyczną metodologię, to należałoby już w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia zlikwidować wszystkie wydziały historii, a na drzwiach do instytutów zawiesić kłódkę i kartkę z napisem: „Jak naukowo dowiedziono, prawda histo-

ryczna nie istnieje, prosimy rozejść się do domów”. Oczywiście, żartuję sobie z bliskiej apokalipsy uprawiania historii. Nic tego nie zwiastuje. Ale to, że postmodernizm został przyjęty z większą ostrożnością przez historyków niż krytyków literackich, jest znaczące. Literaturoznawca pracuje nad tekstem, bada dyskurs; przed historykiem otwiera się kontekst wydarzeń, który istnieje niemal zawsze poza podstawowym przekazem źródłowym, i z którego, dodajmy, zrezygnować nie powinien. Co w takim razie charakteryzuje historię *gender studies*? Czym różni się od historii społecznej, która upomina się o życie codzienne, demografię, o ludzi spoza elity: służące i robotników, handlarzy i przestępców, słowem – o historię zwykłych ludzi, o *history from below*?

Przedstawiciele nowych nurtów historiografii, zanim zdobyli sobie silną pozycję, lubili się określać w konfrontacji do tradycyjnej historii skoncentrowanej na dyplomacji, wojnach, ważnych postaciach życia politycznego – władcach i politykach. *Gender studies*, tak jak historia społeczna, wyrastały z krytyki historii politycznej, która konstruuje tzw. dyskurs dominujący. Przykładem owego kanonicznego dyskursu jest, przywołany w wywiadzie, potoczny obraz komunizmu składający się z łańcucha cierpień, dyskryminacji i represji. Tymczasem opis „realnego socjalizmu” w Polsce, tak jak w większości państw regionu, właśnie w punkcie wyjścia był zniuansowany bardziej niż jakkolwiek inny okres w historii. To badania historyczne przypominały wyparte z rodzinnych biografii i oficjalnej historiografii jego najcięższe lata. Nie sądzę również, żeby badania nad represjami stalinowskimi, przynajmniej w Polsce, całkowicie zdominowały narrację, bo równoległe do historii politycznej rozwijały się badania nad historią społeczną PRL. Dziesiątki książek, na czele z czerwoną serią wydawnictwa „Trio”, w której publikowali m.in. uczniowie profesora Marcina Kuli (Błażej Brzostek, Krzysztof Kosiński, Marcin Zaremba i wielu innych badaczy) na temat modernizacji, legitymizacji władzy, przemiany wzorców rodziny, obyczaju, kultury młodzieżowej, pracy i czasu wolnego – są tego





wymownym dowodem. Podobnie trudno zgodzić się z opinią, że udział kobiet w Powstaniu Warszawskim czy Solidarności (przywołam tutaj wydaną kilka lat temu biografię Anny Walentyńnicz *Anna Solidarność* Sławomira Cenkiewicza) został z historiografii wyparty lub zapomniany.

Płeć w kopalni

Ale wróćmy do historii politycznej, która z założenia ma rzekomo ograniczoną perspektywę badawczą. Jeśli historia polityczna staje się po prostu historią wydarzeniową, to dzieje się tak na skutek ułomności warsztatu historyka, a nie gątkunku pisarstwa historycznego. Historia polityczna, pod ręką wprawnego historyka, jest także opowieścią o czasach, ideach i mentalności. Teza, że PRL zawierała w sobie komponent modernizacyjny, że zwalczono analfabetyzm, wybudowano szkoły i przedszkola, że dymiły zakłady produkcyjne i trwał exodus ludzi ze wsi do miast – jest powszechnie znana i opowiedziana na wiele różnych sposobów w historycznych monografiach, dziennikach, wspomnieniach, wywiadach prasowych i dyskusjach. Demokratyzacja i awans społeczny były procesami charakterystycznymi dla krajów europejskich po 1945 roku, które nie ominęły także Polski pod komunizmem. Przywołana książka Małgorzaty Fidelis *Women, Communism and Industrialization in Postwar Poland*, która opisuje modernizacyjny potencjał komunistycznej Polski, wpisuje się raczej w nurt historiografii już istniejącej, choć niektóre jej tezy budzą duże wątpliwości.

Autorka przygląda się bowiem procesowi stalinowskiej industrializacji przez pryzmat płci i z satysfakcją odnotowuje, że głęboko pod ziemią, w kopalniach, kobiety wchodziły w męskie role i siadały za ciężkimi maszynami, które im zabrano po destalinizacji razem z większymi zarobkami. W stalinizmie dokonał się – zdaniem Fidelis – znaczący emancypacyjny skok, sprowadzony potem niesłusznie do figury „kobiety na traktorze”, symbolu stalinowskiej Polski, pod którym, jak twierdzi, krył się lęk przez destrukcją naturalnego (czytaj: patriarchalnego) porządku. Autorka pokazuje, że emancypacyjne procesy podlegały zmianie, np. przędzarki z Żyrardowa czy robotnice ze Stoczni Gdańskiej (jak przywoływana w książce Anna Walentyńnicz) brały udział w masowych strajkach, niejednokrotnie je inicjując. Słowem – że komunistyczny system, realizując tzw. postulaty socjalistyczne, wyposażał jednocześnie kobiety w narzędzia oporu wobec siebie. Ale warunkiem tej aktywistycznej postawy kobiet był ów wykpiwany wymiar stalinowskiej emancypacji,

który wbrew potocznym wyobrażeniom (stereotypom, dominującym narracjom, historii politycznej etc.) dawał spawaczkom, suwnicowym i innym – wiele radości i satysfakcji. Z punktu widzenia relacji płci, twierdzi autorka, po 1956 roku dochodzi do patriarchalnej reakcji, której kulminacją była „tradycyjna” i „katolicka” Solidarność.

Emancypacja bez wolności

Nie kwestionuję poczucia radości kobiet pracujących w górnictwie, mogą nawet zaryzykować tezę, że każdy człowiek, któremu udało się przeżyć okupację niemiecką, a którego nie czeptała się bezpieka i który pracował, miał powody do satysfakcji. Dziwi jednak to, że autorka śledzi proces stalinowskiej emancypacji, ignorując tak ważne dla samodzielności kobiet wartości, jak wolność słowa, stowarzyszeń, zrzeszeń, jawność życia publicznego, swoboda wymiany myśli, poglądów. Gdybyśmy zajrzeli do czasopism z przełomu XIX/XX wieku o charakterze lewicowo-postępowym, to właśnie tam, z samego centrum emancypacyjnego myślenia o kobietach, popłynęłoby wiele argumentów podważających sens emancypacji, którą opisuje autorka. Emancypacja dla pokolenia kobiet aktywnych z przełomu wieku XIX i XX stanowiła przede wszystkim kwestię świadomości i wolności dokonywania wyborów, co w stalinizmie zarówno kobietom, jak i mężczyznom zostało odebrane. Stalinowska emancypacja instrumentalizowała życie kobiet. Można je było sprowadzić pod ziemię do ciężkich robót, a potem, naciskając jeden guzik, wyprowadzić na powierzchnię i zakazać pracy „w męskich sektorach”, bo chodziło tu nie o emancypację, ale legitymizację komunizmu jako systemu realizującego socjalistyczny ideał równości kobiet i mężczyzn. I jeśli po 1956 roku powraca tradycyjna hierarchia płci, a ideologia równouprawnienia została, ale była fasadowa, to nie oznacza, że przed 1956 roku była autentyczna i niefasadowa (dodajmy – w kopalni i fabryce). Gdyby to wymiennosc ról decydowała istotnie o postępach równouprawnienia, to współczesny wysoki wskaźnik mężczyzn zatrudnionych w sektorze budownictwa uznałobyśmy za rażący przykład dyskryminacji kobiet.

Różnica między *gender studies* a historią społeczną wyrażałaby się zatem w analitycznym, zawężonym, tunelowym widzeniu historii. Opresja, kontrola, dyskryminacja kobiet, której źródłami są: patriarchalna kultura, religia, rodzina, naród, tropienie przejawów lęku przed kobiecą seksualnością, a także poszukiwanie obszarów stabuizowanych i zepchniętych na margines tworzą żelazny repertuar środków interpretacyjnych *gender history*. Wątpię, czy taka historia, mimo że sama przesunęła się z peryferii do akademickiego centrum, może zastąpić historię narracyjną, która rysuje szeroką panoramę stosunków społecznych jak i panujących obyczajów. Od czasów Herodota do dzisiaj. 🍷

dr Magdalena Gawin – historyk, naukowo zajmuje się m.in. procesem emancypacji kobiet